



Magazyn
Materiałów
Literackich

Cegła



Redaktor naczelny: Bruno „Lef” Lewin, urodził się w 1951 w Nowej Hucie, jako syn hutnika i bibliotekarki. W młodości przyglądał się ciężkiej pracy robotników, dorastał w cieniu kominów wśród bloków, gdzie uległy zdewaluowaniu ideały i wartości humanistyczne. Po uzyskaniu świadectwa dojrzałości rozpoczął studia na Akademii Górniczo-Hutniczej. Jednak nie wiązał swojej przyszłości z pracą dla systemu, którego prawdziwą twarz poznał, jak sam mówi, w marcu 1968r. Podczas studiów należał do koła literackiego studentów Akademii Górniczo-Hutniczej. Dzięki licznym podróżom nawiązał wiele kontaktów ze środowiskami artystycznymi innych miast. We Wrocławiu spotkał między innymi Rafała Wojaczka. Po kilku odważnych wystąpieniach negujących panujący porządek został relegowany z uczelni i przymusowo wcielony do wojska. Swoje przeżycia z okresu służby wojskowej opisał w słynnym i poruszającym pamiętniku

„Bomba logiczna”. Objęty nakazem pracy został skierowany do Zakładów Przetwórstwa Rybnego w Dziwnówku. Mimo trudnych warunków bytowych nie przestał pisać. Niestety jego dzieła były konsekwentnie odrzucane przez cenzurę i choć tę zlikwidowano, do dzisiaj nie doczekały się druku. Świadectwem jego nieprzeciętnego talentu jest książka pt. „Pod, sponad, zza”, której fragmenty będziemy zamieszczać w kolejnych numerach naszego pisma. Bruno Lewin jest twórcą nowego kierunku estetycznego – podrealizmu. Jak sam pisze, „podrealizm zakłada istnienie trzeciej rzeczywistości, pod każdą treścią doszukując się metatreści, ukrytej w rudymenarnych elementach aposteriorycznej rzeczywistości złożonej z ontologicznie niepotwierdzonych znaków i form. Esencjonalności bytu dopatruje się pod tkanką zdarzeń alegorycznych dostrzeganych w rytuałach codzienności. Metaprawda przeczuwana, niewyraźna bezpośrednio, ale skonkretyzowana w niespójności pojęć, jest konieczna do reinterpretacji parareality i reorientacji na trzech poziomach świadomości.” W latach osiemdziesiątych opuszcza Polskę. Wraca do kraju w połowie lat dziewięćdziesiątych, by osiedlić się na stałe w małej osadzie w Górach Izerskich.

(Zapraszamy na spotkanie z Bruno Lewinem, które odbędzie się 16 czerwca w czytelni domu zdrojowego w Świeradowie. Początek spotkania godz. 18⁰⁰.)

Cegła. Styczeń 2000 Jelenia Góra

Autorzy: w kolejności przypadkowej:

Łukasz Plata, Karol Pęcherz, Grzegorz Linkiewicz,

Wawrzyn, Paweł Krzaczkowski, Joanna, Michał Guz,

Dawid, Bruno „Lef” Lewin.

Opracowanie graficzne: Karolina Furmanek, Mariusz Piela

Okładka: Magda Milek

Zdjęcia dostarczył Karol Pęcherz.

Redaktor techniczny Piotr Rozłal

Pozdrawiamy naszych bliskich.

Przesłania nie będzie.

Czytajcie i myślcie.

Redakcja.



W magazynie:

Zastaliśmy nieopisany **rozgardiasz**; stosy treści piętrzyły się w mroku, porzucone w dowolnych miejscach; widać dawno nikt tu nie zaglądał. Zresztą, nie potrafiłby tego zrobić –magazynier który trzymał nad nim pieczę, okazał się nieosiągalny – cóż, praca w magazynie nie jest łatwa. Spróbowaliśmy więc dostać się do magazynu, korzystając z kluczy, które każdy z nas odnalazł w kieszeni. Kilka prób Uświadomiło nam, że zamek którym opatrzone drzwi pomimo upływu czasu nadal świetnie sobie radził z próbującymi go zdobyć **intruzami**. Wreszcie skorzystaliśmy z jedyne, jak nam się wydawało, kompromisowego rozwiązania. Po kolejnym zmroku w akcji niejakiej desperacji wyważyliśmy drzwi. I **CÓŻ ? znaleźliśmy się wewnątrz zaniedbanego, chaotycznie niespójnego pomieszczenia; zabrudzone ściany** ekshibicjonistycznie odkrywały kolejne warstwy pokrywających je farb, zarzucając podłogę różnobarwnymi odpryskami, w skrzyżowaniach płaszczyzn rosły

parawany pajęczych siatek, a nieznośny kurz otulał coraz bardziej odległe płody nagromadzonej tam pracy. Postanowiliśmy czym prędzej zrobić coś, by uchronić przynajmniej część z nich od **nieuchronnej degradacji**. Wszystko co zdołaliśmy w krótkim czasie odzyskać złożyliśmy w najjaśniejszym, podokiennym kącie pomieszczeniu

Gdzie jeszcze nie zaległa się wilgoć. Niestety, zabrakło nam czasu na segregację i selekcję materiału. Wobec czego **obowiązek ten – chcąc nie chcąc** – zrzucamy na was,

czytelników, którzy według własnego uznania, na użytek każdego z was, wybieriecie z tego tygla informacyjnego to, co najbardziej będzie wam odpowiadać.

Zmagazynowane tu treści zdają się niekiedy **być bardzo odległymi** od

siebie; formuły i koncepcje nie t**WO**rzą w żadnym stopniu spójnej całości. Niech właśnie taki będzie początek restauracji ({„pod zieloną cegłą”}) naszego magazynu. My, póki co, zabierzemy się do dalszej pracy, tak, aby następnym razem, kiedy udostępnimy go ludzkim oczom, **na zwiedzających nie oczekiwały mielizny gruzu, aby każda z tworzących go cegieł tworzyła zarazem z wszystkimi pozostałymi w miarę jednorodną konstrukcję.**

Zapraszamy do zwiedzania naszego magazynu.

Od poniedziałku do czwartku, w godzinach porannych.

Za wyjątkiem wakacji. **Można dotykać eksponatów, pisać po ścianach – przede wszystkim nawet pisać –** **Przyczyniając się do ich istnienia. Kup Pan(i) cegłę**

LIST.

Piszę do Ciebie z miasta bliźniaczo podobnego do miasta naszych przypadkowych spotkań, jednak leży ono na przeciwległej krawędzi świata w kształcie dysku. Oddychamy tu powietrzem o oryginalnych właściwościach łamania czystych barw, przez co budynki, natura, ludzie niezmiennie przybierają ton starych obrazów. Co więcej, nawet po przekroczeniu granicy naszego regionu, pokrywający wszelkie powierzchnie srebrny nalot pozostaje nieusuwalny, jesteśmy więc natychmiast rozpoznawani, a ponieważ ciąży na nas niczym nieuzasadniona, wywodząca się z gminnych przesądów opinia bioenergetycznych wampirów, podróżujemy nadzwyczaj rzadko, unikając tłocznych poczekalni, godzin szczytu.

Lokalny skład atmosfery powoduje również rozliczne cielesne przypadłość, a najpowszejdniejszą z nich jest chroniczny półsen. Tak, chodzimy po ulicach śniąc. Niemal na każdym kroku widuje się spacerowiczów bez celu, zderzających się z fasadami gmachów, latarniami ulicznymi, ze sobą wzajemnie. Czasem na ich twarzach maluje się przykre zdumienie, rozglądając się zamyślają o powrocie, często jednak błędzą w ten sposób miesiącami. Nikt już na to nie zwraca uwagi, będąc przecież w podobnym stanie. W całej okolicy panuje zatem umiarkowany chaos i chorobliwe roztargnienie.

Prawdopodobieństwo wydostania się z tego miasta jest bardzo mała. Od wielu lat jestem turystą w tym mieście. Status turysty nadają mi okulary słoneczne, jedyne w obrębie okręgu urządzenie tego typu. Z uwagi na częste kraksy uliczne, zwłaszcza nagminne zderzenia czołowe (DOSŁOWNIE), nie używa się tu okularów. Każdy potencjalny mieszkaniec tego miasta był niegdyś turystą, w dodatku większość zamierzała trafić do innego miasta. Niestety, tracąc okulary, systematycznie przestawali być turystami. Jestem dumny ze swoich okularów, które pozwalają mi nadal być turystą.

Przez swoje słoneczne okulary nie widzę kobiet, wśród których od dawna utrzymuje się moda na dokładne odwzorowanie Twojego wyglądu, gestów, uczenia się na pamięć sentencji ułożonych przez Ciebie i świętokradcze ich nadużywanie. Szczególny kunszt osiągnęły w tej dziedzinie sławne gwiazdy filmowe, które nie były nawet statystkami, gdyby nie to perfekcyjne naśladownictwo. Pewnego razu znalazłem się w kinie na jednym z seansów. „Pewnego razu”, ponieważ, jak większość, nie potrafię określić bezwzględnej wartości czasu upływającego między jednym a drugim powrotem do świadomej myśli,” znalazłem się”, ponieważ tu się nigdy nie „wybiera na”, tu się tylko „znajduje na”, tu się tylko „znajduje w”. Więc pewnego razu znalazłem się w kinie na jednym z tutejszych czarno-białych seansów. Podobnie jak resztę, zwabiła mnie tu ciemność. Ogólną konsternację wywołało włączenie kinematografu, zwykle do tego nie dochodzi. Jego prawidłowa praca tchnęła w widownię niespotykany entuzjazm. Z doświadczenia wiem, że regułę stanowią najróżniejsze projekcje eksperymentalne z gatunku puszczenia taśmy do góry nogami, od tyłu do przodu, na lewą stronę i tak dalej.

Piękno tego niepośledniego spektaklu było tak druzgocące, że nic nie widziałem zza moich słonecznych okularów. Sala wypełniona po brzegi zaczęła stopniowo zapadać w sen, ludzie pokładli się na swoich sąsiadach jak kostki domina. Zróżnicowane tempa wdechów i wydechów wyrównały się czyniąc z tłumu ogromny rezonator. Pomimo usilnych starań nie zdołałem utrzymać się dłużej na swoim fotelu. Obustronne parcie okazało się być dla mnie zbyt silnym. Zsuwałem się coraz niżej, niżej,...żej...

Gustaw Gustawson

Sonet kulejący

Pięknaś ty ziemio marzeń moich niespełnionych ;
Kwiciem dzikim i bujnym usłana - pachnąca,
Z gór niebosiężnych przez architekta wzniesionych
Korona twa Gajo - królowo panująca...

Z lasów zielonych szata twa okrywająca
Błękitną cerę oceanów niezmierzonych
i biżuteria wykwinna z wysp połączonych
Zdobi ciało twoje, matko życiem tętniąca.

Lecz, gdy wzrok mój przeniknie przez marzeń obłoki
Nie ujrzę brosz z jezior zdobiących szaty twoje
Tylko z betonu żelazem wzmacnianą zbroję,

Która okrywa twe dawno gnijące zwłoki.
Nie będzie błękitu, zieleni - szarość czeka,
Smród, wycie miasta - ponurej twierdzy człowieka.

Linek

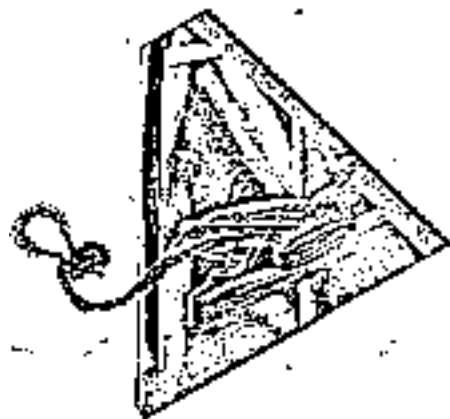
Leśny koncert

Wieczór rozhuczał się nad stawami:
Niczym tenor wytrawny- zagrzemiał mrok.
Mgła poczyniła zwolna pierwszy krok
osiadając miękko nad wodami.

Jako pierwszy swymi melodiami
ciszę zagłuszył świerszcz i oddał skok.
Po nim jak gdyby zachrypnięty smok
chór żab zaryczał stoma głosami.

Mgła coraz to śmielej się kołysze
w rytmach muzyki tej letniej nocy...
Ale zaraz! Co to? Co ja słyszę?!
Pod lasem ludzkie, złowrogie głosy;

już dostrzegli lękliwą mą duszę,
koncert niech trwa- ja uciekać muszę.



Linek

Sen

A cóż to ! Przedziwne ujrzałem cuda:
Mgławica kolorów śmiechem parsknęła
Po tym jak dusza ulatać poczęła
Pod same niebiosy, gdzie rajska nuda.

„Wracajże, wracaj ! Duszycko zbłąkana,
Nie dla cię to miejsce moje kochanie,
Ty do bram piekieł rozpocznij pukanie,
W rozkoszach męczarni będziesz skąpana.”

„Za co tak cierpię, gdy radość twa wielka?
Potęgo rozumu ! Okrutny błaznie !
Dostyc nocą krzyków twych niemych wprawdzie
Lecz słyszę ja, że rozpacz w nich wszelka”

Wtedy zobaczył niezwykle zjawiska:
Trąb tysiąc grało, gdy niebo płonęło;
Z łona swojego szatana poczęło,
Z piekieł zaś Bóg wszechmogący wyrasta.

Niepewności wówczas duszę opadły-
Czy Bramę Piotrową przekraczać warto...
Wtem głosów setki w grzmot się utarło,
Obrazy zaświatów nagle poblady.

Zmierzch radości

Zdobądź mnie przeklęty na wieki zdrajco;
Dorwij me czyste i rozszarp sumienie;
Unoś mnie wysoko współwinowajco;
Pożryj przeogromne moje strapienie!

Gdy dojść nie mogę upodlenia granic-
Pomóż Ciemny Książę- twa pomoc za nic.

Odczuć pozwól twardość dna, Smutny Panie,
Drogę wskaż do głębokich żalu krynic
Bym rozpacz twą wielką pojął, Szatanie!



Linek



NA ŻYWO



Cisza.

Głęboka czerń ciszy.

Jakby strzęp powstrzymywanego oddechu, urwany nagłym rozbłyskiem. Zwiastunem nadciągającej burzy.

Albo nie; nie będzie burzy, owo migotanie niech pochodzi od przemieszczającej się w czerni halogenowej lampy.

Dyskretny poszept w ciszy, wrastający w gwar wyłaniających się z niej głosów. (Ten monotonny dysonans, powoli splatający dźwięki w materię pieśni, sugerować ma możliwość rozpoznania drobnych, nieprawdopodobnych w swej wielości substratów pozornie znanej każdemu rzeczywistości.)

Rozbłysk, raz za razem.

Dźwięki muzyki hipnotyzują, wchłaniają w trzewia niezgłębionej, ciemnej przestrzeni. Stopniowa koncentracja ogniska światła wyprzedza nadciągającą odmianę, wraz z potężniejszymi dźwiękami zdaje się wołać: niech się stanie...

Tam, gdzieś w dole, zakapturzona postać wznosi dłonie ku światłu; natchnionym gestem zdziera długą szatę z... ale gdzież on się podział? Zdecydowanie, przejście w crescendo ... Przestrzeń wypełnia światło, uwydatniając fakturę zalegającego popod wielką piramidą piasku... interwał, piano... nuty pieśni - powiedzmy, Carmina Burana - wykładają delikatny chodnik pod lotne stopy krystalizujących się, dźwięcznych słów... Ach tak, słów... Niech jednak pojawia się wcześniej, wraz z wizualizacją, nie pozwalając przeoczyć żadnego kadru... Niech umocnią tą konstrukcję, niech zdominują zaintrygowane umysły, tak, niech opływają je nieprzerwaną strugą...

...Lgnąc ku darom codziennej egzystencji, zażywając ciepła emanującego z kształtujących cię, ludzkich przyjemności często bezwiednie przechodzisz obok świadomości istnienia trudnych i niebezpiecznych czasem, rzucanych przez świat wyzwań... wielka piramida, na rozkaz stojącego pod nią mężczyzny rozplywa się w niebycie...sploty dźwięków zaciskają się w nerwowe crescendo... Wielkie zmaganie z tajemnicami istnienia, stawianie czoła niebezpieczeństwom i pułapkom losu, stałe przełamywanie wyrastających w nas i przed nami barier... w miejscu piramidy pojawia się postać skoncentrowanego fakira, w skupieniu zalegającego na materacu ognia; po chwili unosi się w lewitacji i - fortissimo! - eksploduje tysiącem różnobarwnych balonów! ... , Na szczęście nikt nie wymaga od ciebie tak spektakularnych dokonań, i, zamiast zmuszać się do bycia odkrywcą, magiem, bohaterem, zamiast kłaść swoje życie na szali losu, możesz popatrzeć, jak robią to inni...Ekstatyczna, rozpędzona kompozycja sekunduje teraz zmieniającym się prędko kadrom: obrazy przekuwanych w rozmaitych miejscach ciał, zmagających się ze wściekłymi bestiami osiłków, wzywających na ciemnym cmentarzysku duchy przodków, wprowadzanych w trans, spacerujących po ogniu - zawirowują, odkształcają się w morze barw... dzięki stworzonemu specjalnie dla ciebie, specjalnie dla wszystkich państwa programowi - apogeum dźwięku, na ekranie tryumfalnie materializuje się neon- NA ŻYWO!!!

Dlatego też, dzisiejszego wydania opuścić państwo nie mogą, albowiem zaprezentujemy w nim coś, czego nikt jeszcze, w żadnym innym programie, w żadnej

stacji telewizyjnej, nie widział. To, jedyne w swoim rodzaju, wykonane przez światowej sławy Kolumbijczyka, Miguela Onto widowisko, zobaczycie państwo jedynie w programie - fanfary -

NA ŻYWO!!!

[aplauz]

* * *

- Za kwadrans zaczynasz.

Nie poruszył się, nie zauważył wcale jego obecności w niewielkim pokoiku. Wpatrzony w sobie tylko wiadomy obraz, nie dostrzegał także całkowicie już spopielonego papierosa, tkwiącego między palcami przy ustach, który, gdy tamten szarpnął go delikatnie za ramię, osypał jego równo przystrzyżoną brodę brunatnym popiołem. Nie zauważywszy także tego, nagle wyrwany z zadumy zagadnął menadżera:

- Co się stało, Piotrze? Ile mam jeszcze czasu?
- Właśnie przed chwilą powiedziałem: piętnaście minut do wyjścia. Przyszedłem sprawdzić, czy niczego ci nie brakuje.
- Mmm...- mruknął, spoglądając na wciąż trzymany przez siebie przypalony filtr - po chwili odrzucił go niedbale i zapalił następnego z leżących na komódce obok papierosów - powiedz, Piotrze, jak to się prezentuje?- rzucił nagle, a następnie wykonał rękami kilka szybkich, elastycznych ruchów, jakby chciał opędzić się od atakujących go natrętnych myśli.
- Cudownie, ekipa świetnie wywiązała się ze swoich zadań - jak zwykle menadżer trafnie odgadł intencje Miguela - właśnie zakończyli przegląd kamer w twojej celi, wszystko jest dopięte na ostatni guzik - twarz artysty, zwykle żywa i niewiarygodnie - z czego zresztą słychać w szerokich kręgach - elastyczna i ruchliwa, teraz zastygła z wyrysowaną na niej głęboką zadumą. Osobliwie licował z nią pokrywający brodę marny, szary popiół. Piotr powstrzymał się od komentarza. - Do transmisji - kontynuował- użytych zostanie trzydzieści siedem kamer, każda odpowiedzialna za przekaz z innego odcinka i innej perspektywy, z czego osiem będzie utrzymywało z różnych ujęć mimikę twarzy - zakończył tryumfalnie, oczekując na oznakę aprobaty.

Mistrz jednak nie zwracał na niego uwagi, znów zatopiony w nurtujących go rozmyślaniach; wyrwało go z zadumy dopiero nagle uderzenie orkiestry dobiegające zza ściany, po którym znów przeniósł rozwodnione spojrzenie na twarz wiernego impresaria.

- Słuchaj, Piotrze - lekko, jakby potknął się, zadrgał mu głos - czy już tam są?
- Masz na myśli swoją żonę i córkę, prawda?- wierny przyjaciel znał ogrom łączącego te trzy osoby uczucia. Wiedział, iż Miguel za nic nie wystąpiłby dziś, gdyby do studio nie zaproszono Monicy i Edy, że nie zrobiłby nic, gdyby nie widział przed sobą kochanych twarzy - Oczywiście - odparł - obydwie zajęły już swoje specjalne miejsca w studio, i wiesz co? Obie, bardzo wzruszone, przyniosły ze sobą ogromne bukiety kwiatów, a po skończonym...

- Dobrze, dziękuję ci - nerwowo przecesał lśniącego brylantyną włosy, i niesamowitym dla niego, łamiącym się głosem, dodał - Czy mógłbyś mnie teraz zostawić samego? Potrzebuję chwili skupienia - wyjaśnił, widząc urażone spojrzenie starego druha. Znając go nie od dziś, znał także osobiste emocjonalne zaangażowanie, jakim obdarzał każde, nowo podejmowane przez niego wyzwanie; wiedział o nie opuszczającym go od miesięcy napięciu, spowodowanym troską tak o osobę artysty, jak i o powodzenie monumentalnego przedsięwzięcia. Wprawdzie z jego strony wszystko wyglądało na przygotowane, jednak, zważywszy na to, iż był to numer - mmm - premierowy, przed tak wielkim audytorium... Stacja TV przewidywała tego wieczoru olbrzymią oglądalność, dołożyła też wszelkich starań aby sprawy techniczne nie zawiodły, więc jakiegokolwiek niepowodzenie nie mogło wchodzić w rachubę...

Wykonał przed lustrem kilka prostych, rozluźniających mięśnie ćwiczeń, zrzucając przy tym pokrywający brodę popiół. Jak zwykle, bezpośrednio przed wyjściem na scenę odczuwał dręczące go napięcie, tym razem uzupełnione o niejasny, natrętny wyrzut... Aby wyglądać na scenie bardziej przekonująco i naturalnie, postanowił nie zażywać awaryjnej pastylki - zamiast niej zapalił następnego papierosa. Nagle zamarł... Spoza ściany dobiegło go skwitowane burzą oklasków wezwanie, a równocześnie w drzwiach pojawił się Piotr.

- Co ty tu jeszcze robisz? - zakrzyknął, w najwyższym już stopniu podenerwowany - dłużej nie możesz pozwolić im czekać! - Po czym, przytrzymując na krótką chwilę dłoń wychodzącego w pośpiechu Miguela, z błyskiem w oku dodał - Powodzenia.

A gdy ten zniknął już w korytarzu prowadzącym do miejsca, gdzie tak pilnie go oczekiwano, wyszeptał w zamyśleniu

- i do zobaczenia ...

* * *

W centralnej części sali ustawiono makietę więziennej celi. Zza maleńkiego, zakratowanego okienka spozierała wyjątkowo dziś naturalna twarz księżycy; pomiędzy utrudzonymi, pooranymi strumyczkami wody kamiennymi murami, na środku pomieszczenia oczekiwała na gościa solidna, dębowa płyta.

Miguel ułożył się, dbając o dokładne dopasowanie ciała do wyżłobionych w drewnie konturów, zaś dwaj asystenci opasali jego członki, korpus i kark mocnymi, skózanymi pasami. Wreszcie odetchnął z ulgą. Teraz, skoro już został przypisany temu miejscu, wszystko musiało potoczyć się tak, jak należało. Odetchnął, po czym rozejrzał się po sali; wprost przed sobą zobaczył dwa, obłędnie napięte i wzruszone oblicza; usta, szepczące coś, zapewne modlitwę, niezbyt zdecydowaną kogo, ani też o co prosić, i rękę rozkwitającą bukietem wdzięcznych kwiatów, i spragnione już obiecaney rozrywki rozemocjonowane postaci przystojnych pań i panów... Zacisnął powieki, nie chcąc się rozpraszać drogim sercu widokiem. Wiedział, iż na wielkich telebimach ustawionych po obu stronach celi kobiety będą mogły dokładnie prześledzić wszelkie ruchy jego oczu, grę mięśni twarzy, ramion, także nóg, wreszcie całego ciała... podobnie jak miliony widzów, wygodnie usadowionych w swoich fotelach.

Patrząc w źrenicę zwieszającego się nad nim oka (kamery nr 7, zbliżenie an face), kolejny raz uświadomił sobie wagę dokonywanego właśnie przez siebie czynu. Cóż,

pomyślał, o ile wszystko pójdzie po mojej myśli, już za kwadrans zrobię to, do czego przygotowywałem się od tak długiego czasu, że w zasadzie wydaje mi się już widowiskiem starym i przebrzmiałym; jednak wiem, że to tylko moje osobiste odczucie, w rzeczywistości nie poparte niczym. Nie było do tej pory nikogo, kto ważyłby się dokonać tego samego; a jeśli nawet, to z pewnością nie na oczach tysięcy, milionów; z pewnością zresztą gdzieś, w kamiennym zaciszu, znalazłby się człowiek, jednak nikt by nie zobaczył, nie docenił – a więc nie byłoby go naprawdę, tak jak mnie, który leżę teraz na oczach świata; na oczach, które uniosą mnie później ponad rzesze zwykłych, nieznaczących poza obrębem swego fotela, na oczach, które wyniosą mnie ponad mnie samego...przypomniawszy sobie – jak zawsze przed występem – niski, karłowaty wąż z tyłu domu, i gałąź z siedzącym na niej chłopcem, podmuchy szarpającego nim wiatru i jego pobrudzoną, poszarpaną odzież; chłopiec rozcierał obolałe ramię i uparcie wpatrywał się w ziemię, zerkając czasem na zgromadzoną opodal czeladkę dzieci. Dzieci, podekscytowane, pokrzykiwały zachęcająco, i po chwili, kiedy wykorzystując siłę skoncentrowanej jaźni uniósł się ponad poprzeczkę gałęzi i zawisł wyprężony nad ich głowami, rozwrzeszczały się w zachwycie. A później, kiedy zetknął się z bólem? Czyż nie otoczyły go kołnierzem uśmiechów?... czy też niejasne wspomnienie drwiny i upokorzenia, które nagle nappełniło go goryczą nie wypłynęło z tych właśnie, wcale nie przyjaznych twarzy, czy nie podsunęło obrazu oddalających się pleców...

Ocuciła go dramatycznie potężniejszą muzyką, wyłaniającą się z dobiegających zewsząd tajemniczych szeptów, nadająca złowrogiemu charakteru natrętnemu wrażeniu, które opadło go wraz z przebudzeniem; wrażeniu czyjejś obecności w celi. Oto jeden z asystentów, na oczach ludności całego niemal świata (program emitowany przez 47 stacji z każdego zakątka globu) zbliżał się do niego, dzierżąc w ręku połyskującą srebrem tacę (ujęcie z kamery 24, plan ogólny) z trudnymi do odróżnienia, choć wyraźnie się na niej odznaczającymi konturami intrygujących kształtów. Asystent pochyła się nad leżącym i przez moment jedynym wyraźnymobrazem, jaki podenerwowani widzowie mogą zobaczyć są jego plecy; po chwili widoczność znacznie polepsza się i można rozpoznać już podłużny, szklany pojemniczek z tłokiem leżący obok drobnych jakichś przedmiotów na tacy (kamera z góry, nr 19).Rzut oka na skupioną, pełną ciepła i zadumy twarz artysty (przejście z lewego profilu, nr5, na ujęcie ogólne twarzy,17) a następnie ręce pochylonego nad nim mężczyzny oderwą się od tacy, powoli, jakby w zwolnionym tempie (ze względów, rzecz jasna, widowiskowych) będą zbliżać się do naprężonego, przepasanego rzemieniem przedramienia, by wreszcie zatopić lśniący szpic w nabrzmiałej żyłce (kolejne, szybko po sobie następujące ujęcia z trzech kamer: 28, 29, 36) artysty, i (obraz przenosi się na zbliżenie twarzy, 31, i oczu, 13) wtłoczyć w nią zawartość strzykawki. [okrzyki zgrozy]

Teraz już, przez szkło telebimu, a także milionów domowych odbiorników, widzowie mieli zacząć delektować się obrazem sytuacji: począwszy od szybkich, nerwowych skurczów targających śmiesznie chudymi i kościstymi stopami i odchylających je w zabawnej symetrii (czyż nie tak, jak robił to Charlie Chaplin, król humoru w którymś ze swoich filmów? – czy też może był to kto inny?), przez nieregularny, jak gdyby opętańczy taniec dłoni, przebierających dziko palcami, układających je w fantastyczne czasem konfiguracje – trudno uwierzyć, że ktoś

mógłby tak rozcapierzyć palce bez ryzyka wyłamania ich ze stawów [pomruk uznania], przez przekomiczny – pomimo zaciśniętych pasów – taniec brzucha, artysta zafascynował wszystkich swym rzeczywiście nieprzeciętnym talentem mimicznym: karykaturalnie nadymając twarz, niby ogromną, prawie do tego przezroczystą ropuchę, rozciągając ją – rzecz jasna, twarz – w osobliwej dysharmonii, jak w żywym kubistycznym portrecie : zmieniając wzajemne położenie oczu, nosa – płaszcącego się i rozdymającego , niesamowicie rozwartych ust, komicznie podrygując mięśniami policzków, prezentując całą gamę grymasów, od rozdzierającego smutku po wściekłą radość. Jednak najbardziej pociesznymi były chyba oczy mężczyzny, wirujące w niesamowitym tempie, pragnące wyskoczyć ze zbyt ciasnych i mało dynamicznych oczodołów [śmiech], doprowadzające szalejących widzów swym otwartym wyrazem bezbrzeżnego zdumienia do ekstazy.

Na koniec, kiedy publiczność zdradzała już objawy niejakiego zmęczenia – naprawdę ciężko jest wytrzymać taki ładunek rozsadzających emocji - artysta, jakby z przekory, na nieprawdopodobną (naprawdę!) długość rozwinął dziwnie siny język.

Po czym umarł.

Na żywo!!!

[oklaski]

Melchior P. Feste



Rodopsyna

Barwne zroniły klangoru przestrzenie światła
okruciami rozhuśtane niedopałki dnia
szkarłatem na piusce horyzontu zdeptane
i czarne koine kluczenia gwiazd wyszeptane

CISZA!!!

Skulone białka lustrują świat przetykany w dna
szarość lichtarza ostatnią iskrę wykradła

Powiesz „To ścierwo zczerniało” Kłamstwo w chleb...?

- alchemik? sofista? – i łyżę pospinasz euforią
wielką i głupią, że na stole jeszcze ciepły
ogryzek ciała w złotym talerzu zaległy

WRZASK

Zarygłowałeś próżnię ust ciernistą morią
karłą predestynacją obrastających w chlew

Woale słomianych pajęczyn na kolanach
i serce zdjęte z palca, wmięcione pod dywan,
w piwnicę ideału. Tam wciąż prorokuje
o drodze, męce i obłoku, białym winie,

DUSZA

którą czarnoślądem piekielny żłobi rydwan,
dziki warkot szaleństwa zakrzepły w spojrzeniach.
Nie wiem lecz czuję, podskórnie jak wsparty skrzydłem
w brzask zachodzącego naostrzonym tłumem, na bruku
miłości, wyrasta nowy człowiek – koniec
...wiem tylko, że wierzę, bo wierzę, że nie wiem nic

RODOPSYNA

i to jest moja łyżka nadziei o zmroku
niebieska furia na wpół uchylona krzyżem.

Ćma

Szlakiem nocy rzęsy odchylają cień na gwiazdę,
palce zanurzone w usta krzyczą głodne serce,
niby skrzydło przemarznięte biegnie w stronę lawy,
liść odarty z drzewa odnajduje sen na ziemi.

Łza rzucona w zamroczenie stygnie na cmentarzu,
błysk wyjęty z nieba trąca czarne stalagmity,
niby ścięty obłok podtrzymuje się na ziemi,
deszcz w kałuży wypatruje przedłużenie chmury.

Glizda latarnianych tkanek na zwęglonym polu,
motyl pod spojrzeniem gwiazdy wertujący księgi
życia zapisane łzami. Roje orbitalne
dzieląc lekką eucharystię między dłoń otwartą,
zathumione wokół lampy młąc drobiny światła,
zamarzają w okamgnieniu myśląc refleks z Bogiem.

Tren XX

Teraz trumny odchylają rzęsy, wypelzają
na ulice zathumione, trącają przechodniów
przygarbionych cierniem witryn, promocją euforii
i pustoszą łona matek. Wielbią eutanazję.
Wchodzą w usta polityczne, ostrzą apetyty,
połykają pokolenia, bawią społeczeństwa
krzesłem, pętlą i strzykawką. W majestacie prawa
rzeź tłumaczą miłosierdziem, skuteczną terapią.

Kostnica wrosła w krajobraz przeorany grobem
i rozlała swoją mądrość w naczynia tyranii.
Kata mianowała bogiem, zapędziła wiernych
w świątynie cmentarne, w pole cicho – granitowe
napelnione trupim sadłem, krzyżem przeżegnane.
Wolą staje się zagłada, pierwszą powinnością
demokracji – fanaberie spełniać podatników,
choćby całkiem ogłupiałych. Martwi się nie liczą.

Wybicie

Wybijamy siebie nawzajem
ponad przeciętność.

* * *

złóż powieki na cmentarzu w granitowe kamienice
złóż jak liść zasypia ziemię poruszonym spazmem wiatru
tam pod spodem w cichej stronie glob w surdutach zakopanych
tam przegniłe leżą matki robak zębem skubie sutki
płacąc woskowym talarem jakby usta kładąc w trumnę
to są nasze pepowiny z długą brodą apostoła
to jest chleb nasz wypiekany czyli gardeł nasycenie
wkrótce przyjdą świeże larwy stare lekko zejda w mleko
będą żuły twoje mięso tak jak żuleś naszych ojców



Słowo, że zaludnię myśli,
że opuszczę pustą stronę,
pozostawię ciepły dotyk
dla człowieka ponad zegar,
kiedy ziemia bez odniesień
piętrzy jarmark wyobraźni
dla kustoszy wolnej woli
krematorium zmartwychwstania.

Znów zadrżało pod nogami,
spazm przetrzął resztki wiary
i załęgły duszę ciałem
konstelacje monetarne.
Teraz wzrokiem wers karczujesz
w geście chwili wniebowzięty,
a gdy przyjdzie czas ofiary,
którą stronę dłonią wskażesz?

Bartek

„Wywiad ze Świrem pisany lewą ręką”

Miejsce: Pokój bez klamek

Osoby (i nie tylko):

- Świr
- Ściana z którą rozmawia Świr
- Chór zapijaczonych pielęgniarzy

(Szczególnych zaleceń co do dekoracji nie ma. Łóżko, stół, krzesła, ściana. Jeśli chodzi o dobór aktora, to również specjalnych wytycznych nie ma, ale jego ogólna aparycja winna wskazywać na niedowład umysłowy)

Akt 33 (Pierwsza miłość)

(Świr siedzi przed ścianą i mówi)

- Ściana z którą rozmawia Świr.

.....

- Świr

Tak, tak. Pobyt w domu wariatów nie jest najpopularniejszym sposobem spędzania wolnego czasu. Troszczy się o to obecna w każdym szpitalu siostra przełożona [*Świr spluwa z odrazą*]. Ten niski , gruby i nad wyraz upierdliwy babsztyl, stara się byśmy poczuli się jeszcze bardziej jebnięci niż rzeczywiście jesteśmy.

- Chór zapijaczonych pielęgniarzy [*ledwo stojących*] Prawdę rzeczesz przyjacielu miły... Daj nam wina!

- Świr [*nie zwracając uwagi na leżący już pod ścianą chór*]

Osobiście uważam, że pogarszający się stan niektórych z moich współ-świrów to właśnie jej zasługa. Nawet całkiem normalny facet dostałby zajoba gdyby co noc musiał kopulować z tym pieprzonym potworem [*Świr spluwa z odrazą*].

W sąsiednim pokoju mieszka jeden z jej wybranków. Każdej nocy słyszę stamtąd najpierw ciche, kastrackie – NIE – świra, a po tym następuje cios w mordę debila, który zadaje, oczywiście, ogromna jak bochenek chleba z pięcioma serdelkami, łapa oddziałowej. Uwieńczeniem tych igraszek jest głośnie sapanie oddziałowej co powoduje u mnie odru... [*Świr rzyga*]

.....

Poza tym wszystko jest O.K [*Wycierając usta*]

Akt 69 („ Life is beauty, life is the best”)

[Świr nadal siedzi przed ścianą i mówi]

- Ściana z którą rozmawia Świr.

.....i.....?

- Świr

Tak... jeśli chodzi oto, to odkąd pamiętam zawsze chciałem być dorosłym. Świat rozwrzeszczanych bachorów biegających po podwórku w ogóle mnie nie pociągał. Ich durnowate i pozbawione sensu zabawy powodowały że chciało mi się najzwyczajniej rzygać!. Nienawidziłem ich do tego stopnia, że przez tydzień, czasem dwa, nie wychodziłem z domu. Dopiero gdy ojciec kolejny raz groził mi [*zawsze wtedy to robił*], że w końcu pójdzie ze mną do psychiatry, a ten zamknie mnie u czubków, wychodziłem na krótki spacer po parku. Wracając po godzinie, zakradałem się do pokoju i spędzałem tam kolejne dni do czasu następnej awantury.

- Chór zapijaczonych pielęgniarzy.

[Śpią, chrapiąc tak głośno, że zagłuszają Świra]

- Świr [stara się nie zwracać uwagi na chór, ale mu to nie wychodzi]

Tak na marginesie to ojciec bardziej nadawał się do świrów niż ja, ale cóż on był dorosły i to on był szefem. To była właśnie jedna z rzeczy, która pociągała mnie w dorosłości. Ona oznaczała władzę, niezależność, możliwość robienia tego na co się miało ochotę. Nikt już nie mógł straszyć cię domem wariatów i lekarzami. Byłeś duży i miałeś wszystko w dupie!.

Co do moich rówieśników to pogarda, którą miałem dla tych piszczących świrów bawiących się w piaskownicy przed blokiem, często przeradzała się w agresję i prowadziła do bójek. Nie wyobrażasz sobie jaka to przyjemność walić w mordę takiego gówniarza, depcząc przy tym jego babki z piasku, które budował z takim entuzjazmem. Nie ma nic przyjemniejszego! No oczywiście prócz bycia dorosłym (tak wtedy myślałem).

- Chór zapijaczonych pielęgniarzy [przez sen] Przegrałeś !!!

- Świr [podkurwiony że aż]

Nie muszę chyba mówić (ale powiem), że moje zachowanie wkurwiała ojca i separowało mnie od dzieciaków. Mnie to nie przeszkadzało, ale rodzicom było głupio, że mają syna debila. Ja tak o sobie wtedy nie myślałem, ale oni za pewne tak. Niestety nie mogłem poświęcić swoich ideałów i zacząć zachowywać się jak inne dzieci. Szczuć do piaskownicy myśląc, że nikt tego nie widzi. Nigdy! Lepiej mieć opinię debila niż obszczymurka.

Kiedyś ojciec, po kolejnej bójce, wlał mi przy wszystkich dzieciakach na gołą dupę! Nienawidziłem go wtedy jeszcze bardziej niż na co dzień, ale wiedziałem, że nic na to nie poradzę bo no był dorosły, no i mój ojciec.

(Ale kurwa, żeby tak mógł to...)

Przysięgłem sobie wtedy, że nigdy nie zniżę się do poziomu tych niechcianych, zabłąkanych plemników, z których wyrosły te jebnięte istoty, a ojcu powiedziałem, żeby sam szedł do wariatów, bo mnie tam nigdy nie zobaczy.

- Chór zapijaczonych pielęgniarzy [z ironią i śmiechem]

Uuu ! Nie udało się jednak?!

- Świr [wkurwiony na max'a, mówi przez zęby]

Kiedy dorosłem, ci których nie nienawidziłem również stali się do-ro-sły-mi! Nie przewidziałem tego! Myślałem, że będę mógł powiedzieć: PATRZCIE KUTASY JA JESTEM DUŻY A WY NIE!

Niestety tak się stało. Szkoda tylko, że zorientowałem się tak późno. Dotarło do mnie, że muszę gdzieś uciec, schować się by uwolnić się od NICH. Dlatego tu jestem. To był jedyny sposób. Dzieciństwo => Dorosłość => Dom wariatów. Taka kolej rzeczy. Tutaj każdy jest gdzie indziej, we własnym kręgu. Gówno ich obchodzi kim jestem, co zrobiłem, dlaczego... Mogę być sobą. Tylko ta przelożona! [S pluwa z odrazą]

KATHARSIS

- Chór zapijaczonych pielęgniarzy

Oj biedaczku, a jednak tatuś miał rację...!

- Świr [rzuca się na chór kopiąc ich, pluając, wyzywając itp. Itd.]

[Kurtyna opada w tym momencie jeśli to wersja cenzurowana, jeśli nie to widz winien mieć możliwość obejrzenia do końca ekscesów Świra]

„Sekciara {ta, która nie chciała}”

1

Z relacji świadka, którego nie było (*z przyczyn subiektywnie realnych*), skoczyła z mostu tworzonych nadziei (*lepszego przyszłości co nie nastąpi*). Spadła z myślą o innych sobotach (*wtorkach, czwartkach*), krzyczała, że wolność, bliski koniec (*czystość umysłu, ...bcie ..o..amo!!*), uderzyła o taflę drzwi nowego świata (*były zamknięte i zardzewiały*). Przeprowadzona nazajutrz sekcja potwierdziła przypuszczenia (*załamanie? choroba?*)

- nie istniała przed skokiem (*bez szans na przeżycie*).

2

Stężenie procentowe chorych imagacji (*we krwi słabej woli*) przekroczyło dopuszczalne normy zdrowego rozsądku. Oględziny mózgu i istoty szarej przyniosły niespodziewane widmo alienacji (*mowę pseudoreligionów*). Kawał mięsa będącego niegdyś sercem (*pękło z żalu po zażyciu prawdy*) rozlało się po wnętrzu zmyślonego życia.

3

Pocięli ją nie wiedząc (*próbowała krzyczeć, że nie*), że ona ich widzi. Odebrali sedno przeżyć.

-oni winni karze (*wmówili : kochać-nienawidząc*)

FISH





„Cień pod murem ulicy”

Przeszedłeś obojętnie.
Nie zrobiłeś nic, żadnej reakcji prócz pogardy.
Ominąłeś, nie dając nawet grosza nadziei.
Potraktowałeś ją jak psa,
ściervo,
nic.

Zakryłeś twarz resztek człowieka
dłońmi obojętności.
Nie zwróciłeś uwagi na jej gesty.
Skowyt próśb w oczach, który
odepchnął cię jeszcze bardziej.

Nie obchodzi cię to, że ona ginie.
Znika tu, teraz, pod murem tego domu.
Każdy gest taki jak twój odejmuje
jej realności.

Spójrz!

Już prawie jej nie ma. Jeszcze
kilka osób, ta kobieta z wózkiem,
ten facet z psem i zniknie.

Widzisz!?

Zostało tylko zawiniątko, które
trzymała. Może to dziecko?
Nie . tu nie ma nic. Ono też
zniknęło. Niechciane i krzywdzone
przez takich jak ty-przestało
istnieć jak ona.
Zabrakło im nadziei? Nie.
To słowa słyszane co dzień od
takich jak ty, sprawiły że nie
chciała już więcej.
Słowa słyszane, bijące echem.

Spierdalaj!

FISH

B O S K A K O M E D I A 2 0 0 0

Trzy dni błądziłem po tym ciemnym lesie, odkąd wyszedłem z mego domu, gdzie zostawiłem żonę, dzieci, telewizor i moje ciepłe kapcie. Jakaś niemoc mnie ogarnęła i zgubiłem szlak, po którym zwykłem się przechadzać. W życiu nie widziałem tak srogiego boru. Mroczny, porośnięty i ciemny szalenie.

W życia wędrowce, na połowie czasu, człowiek łatwo może dobrą drogę zmylić i zaplątać się w gęste chaszczce.

Cóż szedłem więc tak bez celu, przedzierając się z trudem niemałym, gdy dostrzegłem górę mieniącą się tysiącem światełek. Kolorowe neony kusily swym cudownym blaskiem. Zbliżyłem się nieco.

Wtem naskoczył na mą osobę zwierz o plamistej skórze.

- Pantera!!! - krzyknąłem.

I słusznie zmiarkowałem, bo to pantera była i tłusta aż do przesady w dodatku, tak, iż praktycznie swe naturalne proporcje straciła. Pod gardłem fałda jej wisiała, a łapy miała ciężkie i owalne. Bestia nie spuszczała ze mnie wzroku.

Skradałem się, co by minąć pstrokatego zwierzka, a tu lew z zarośli łeb wychyla i ryczy, i fuka na mnie. Gruby lew. Bodajże dwakroć tłustszy od pantery. A żeby tego było mało, jeszcze wilczyca spasiona, która za lwem się czaiła, miała mnie na swej uwadze. Chciwym wzrokiem mierzyła mą personę.

Cóż począć ? Trudna chwila. Ze strachu krew mi w żyłach bulgoce, a nogi ledwie resztę ciała trzymają.

Już myślałem, iż zginąć przyjdzie w szponach drapieżnej zwierzyny, ale na szczęście ze lśniącej góry wyszła nieznana mi postać, która widać władanie miała nad bestiami, bo spokorniały i potulne się stały.

- Ktoś ty ? - pytam.

- " Nie człowiek, jednak z ludzkiego plemienia,

Ojców Lombardów miałem - rzekła mara -

Z mantowańskiego oboje nasienia.

Urodziłem się za Jula Cezara,

A za Augusta cnego żyłem w Rzymie,

Gdy panowała bogów kłamna wiara.

Poeta byłem i w epicznym rymie

Uszłego z dumnej Ilionu ruiny

Anchizowegom syna głosił imię."

- O boski Wergili. Życie mi ratujesz. Dzięki Ci, o dzięki boski Wergili.

- I owszem, jam jest ten sławny poeta.

Me utwory znane po dzień dzisiejszy,

Ba, sławniejsze nad księgi Koheleta,

A tyś - człowiecze - widzę nietutejszy.
Więc ja przewodnikiem twym będę, który
Świat ci tajemny dusz zmarłych ukaże
Za jedyne dziewięć euro z góry.
Cóż, taniej nie mogę, albowiem wszakże
Wiesz jak dziś szybko drożeje benzyna.

I tak właśnie rozpoczęła się moja wędrówka po krainie umarłych.

Wergiliusz ruszył pewnym krokiem, a ja za nim.

Przypadek chyba tylko sprawił, że miałem na wjazd, zapłaciłem w kasie należność i mym oczom ukazała się brama, na której drzwiach dał się czytać napis: " CZYNNE CAŁĄ DOBĘ. ZAPRASZAMY.", a pod spodem nieco zatartymi już literami: " Ty, który tu wchodzisz, żegnaj się z nadzieją...".

Po chwili znaleźliśmy się w przedpieklu. Ciepło się zrobiło, dlatego też zostawiłem część garderoby w szatni. Starożytny poeta zaprowadził mnie nad czarnowodną rzekę, gdzie można było popływać sobie z Charonem. Tylko 0.99 euro. Skusiłem się więc i włodarz wód podziemnych przewiózł nas na drugą stronę, gdzie znajdował się pierwszy krąg piekła.

- Po lewej można zobaczyć wybitnych przedstawicieli antyku.

Ja jestem ich bratem i często tu można mnie spotkać.

- O tamten, z tą brodą, to chyba Platon. Tak, to on. Witaj, witaj przesławny Platonie.
- Witaj ziemski przybyszu.
- Czytałem wiele twoich dzieł: „ Państwo”, „Obronę Sokratesa”, „Ucztę”. Są doskonałe. Uczniu Sokratesa opowiedz mi o swoim mistrzu.

Platon wykręcał się i mieszał.

- No, miałem mistrza, hmmm,mmm no i ten, no ... uczył mnie różnych takich rzeczy.
- Tak, ale jaki on był ?
- Wiesz co, ziemski przybyszu, zaprowadzę cię do niego, a on odpowie na twoje pytania osobiście.

Skręciliśmy w lewo, gdzie znajdowała się olbrzymia polana.

- Oto Sokrates. Sokratesie, przedstawiam ci naszego gościa. Jest z Ziemi. Prosił mnie, abym zbliżył mu twoją sylwetkę, więc przyprowadziłem go tutaj.
- Aha, no cóż... wiem, że nic nie wiem. No to na razie, życzę miłej podróży.

Sokrates oddalił się, pomrukując coś pod nosem.

- Tak, to był właśnie cały Sokrates. Czas mnie goni. Wybaczcie.

Platon podał mi dłoń i zwyczajem filozofów chciał odejść w zadumie, kręcąc palcami brodę, lecz ta ni stąd ni zowąd oderwała się od mądrej twarzy mędrca,

która teraz , na dobrą sprawę, nie wyglądała już tak mądrze, rzekłbym nawet debilnie.

- Jasny gwint !!! Sztuczna broda !!! Sztuczny Platon !!! – nie mogłem dać wiary.
- Co się gapisz zasrańcu ! – krzyknął sponiewierany duch do Wergiliusza. Powiedz tym tam z góry, że by się w dupę pocałowali. To jest klej ? To jest klej ? Każą kręcić brodę, a nie dają dobrego kleju. Za takie pieniądze nie będę się błaźnił.

Zdemaskowany Platon, idąc rwał antyczne szaty i bluźnił niemiłosiernie. Wergiliusz stał jak wryty jeszcze czas dłuższy, potem dał znak, by iść za nim. Poszedłem więc, bo i cóż miałem czynić. Pieniędzy nie oddadzą.

Coś te zaświaty inne były niż w moim wyobrażeniu. Nie miałem śmiałości pytać wielkiego poety o to małe nieporozumienie. W końcu wszędzie może zdarzyć się mały kiks. Nawet jeśli są to zaświaty.

W drugim kręgu natknęliśmy się na mały korek. Kilkaset dusz stało w długiej kolejce, na początku której siedział ów rozeznanawca biegły ludzkiej winy – Minos. Szkaradną miał facjatę, a i ogon nie mały. To on właśnie wyznaczał miejsce pokuty grzesznym duszyczką, skazywał na wieczne męki tym cięższe, im bardziej dusza grzechem nasiąkała. Korzystając z faktu, iż byliśmy tutaj w celach rekreacyjno-turystycznych, Wergili, a ja za nim, przeciskaliśmy się z wolna przez tłum umarłych. W końcu stanęliśmy przed samym Minosem – sędzią nad sędziami. Zauważył nas i kiwał do nas palcem na znak, abyśmy się zbliżyli, ale mój mistrz miał bliżej mi nie znane opory wobec Minosa, bo wyraźnie unikał jego wzroku i najchętniej poszedłby już dalej. Ja jednak, widząc niecodzienną okazję, albowiem przecież nie co dzień jest się w piekle, koniecznie chciałem poznać ową bestię. Zatem namawiam mego przewodnika do konwersacji z Minosem.

- Strzałeczka, Wergiliuszu. Jak leci ?
- Po staremu. Cały czas prowadzam turystów. A co u ciebie ?
- Dzisiaj wyjątkowo świetnie. Była grupka terrorystów IRA. Wysadzili zdaje się jakiś dobrze prosperujący bank w Londynie, a potem, podczas ewakuacji, stracili kontrolę nad helikopterem i rozbili się o Big Bena. Koniecznie chcieli iść do nieba. Mówię im, że nie da rady, z takim kątem w najlepszym wypadku będzie przypalanie i kąpiele w niezimnej smole. Patrz, uparli się i mówią, że oni muszą, bo mają sprawy do załatwienia. Muszą i koniec. No, nie miałem sumienia ich tu zostawić, jeszcze mi coś wysadzą w powietrze. Przecież z nimi to nigdy nic nie wiadomo...Dali po 100 tysięcy od łepka to ich przerzuciłem na górę. Znajdą spokojne towarzystwo, to się uspokoją. Mają fantazję chłopaki. Ale słuchaj co było wczoraj! Panie, takie przekręty, że normalnie myślałem, że padnę. Przychodzi jakaś mara, sprawdzam ją, no kurczę czyściutka jak łza. Mówię: panie, coś pan, pan do nieba musi iść, skąd się pan tu wziął ? Ty, a on mi wkręca, że on pragnie piekła i że ból nad wszystko kocha, żeby go przypalać i w krwi topić. W ogóle mnie

zamurowało. Nie miał dużo siana przy sobie, ale trochę przyciąłem. Jak tak bardzo lubi przypalanie, to niech ma. A co tam ?

Wergiliusz uśmiechał się sztucznie i przytakiwał Minosowi, jednak z twarzy wielkiego poety dało się czytać ogromne zażenowanie. Jakiś wstyd, który opanował go od stóp po głowę.

Widząc krępującą sytuację, klepnałem mego przewodnika i pożegnawszy się z najsprawiedliwszym ze sprawiedliwych, ruszyliśmy w dalszą wędrówkę,

Wiele rzeczy cudownych ujrzały me oczy. Przedzierając się przez kolejne kręgi piekielnego leja, napotkaliśmy przedziwne potwory. Poznałem Cerbera, Plutona i Minotaura. Prawilem z Fotynem – diakonem z Tesalonik, który za niewielką opłatą we wspianym akcie krasomówczym odmawiał Chrystusowi natury boskiej. Genialny heretyk. Na co dzień płonął w swoim grobowcu, jednak jak mnie zapewniał ognie były zimne, a jego grobowiec to prawdziwe cudencko. Potężny kompleks wypoczynkowy. Przyglądałem się męką sodomitów, bluźnierców i hipokrytów, którzy nosili ołowiane kaptury pozłacane z wierzchu, symbolizujące ich dwulicowość.

Tysiące, tysiące dusz topiących się w rzece krwi. Na samym dnie piekła w trzech paszczach Lucyfera mieli się znajdować najwięksi zdrajcy wszechczasów: Judasz, Brutus i Kasjusz, którzy spiskowali przeciwko Juliuszowi Cezarowi. Jednak udało nam się zobaczyć tylko Brutusa, ponieważ pozostali wyjechali na wakacje.

Dziwne to było piekło. Pełne korupcji, niesprawiedliwości i oszustw. Cierpieli tylko biedni i zwykli. Ci lepsi zawsze spadali na cztery łapy.

Ale najwięcej boleści zdawał się mieć mój mistrz, przewodnik Wergiliusz, który wchodząc w Piotrowe progi, łzę uronił najczystsza.

Czyściec uderzył mnie melancholijnym spokojem. Wszechobecna cisza skłaniała mnie do refleksji. Wergiliusz wspinał się zwolna po skalistej górze w całkowitym milczeniu. Słowa jednego nie wyszeptał. Martwiłem się o mojego przewodnika, więc gdy doszliśmy do bramy czyśccowej, zaproponowałem odpoczynek.

Spoczęliśmy na pierwszym z trzech stopni, który blaskiem bieli raził me oczy.

Trzy minuty siedzieliśmy w ciszy, gdy boski Wergili przemówił temi słowy :

- Biedny świecie, którądy podążasz ? Dokąd zmierzasz w swym ślepych pędzie ? Bez Boga, wiary, a jedynie z garstką pieniędzy chcesz szukać szczęścia ? Więc mówię ci teraz : marne twe poszukiwania, bo jedyne co napotkasz na swej drodze to kłamstwa, zdrada i grzech najcięższy. Biedni ludzie ! Odrzuciliście raj, zmieniając go w piekło. Bóg dał wam wolną wolę, a wy wykorzystaliście ją przeciwko niemu. Bóg was opuścił, zostaliście sami pograżając się w swoim szaleństwie, śmieJCie się i tańCzcie, kradnijcie i mordujcie, niech pogoń za pieniądzem wyznaczy wam cel ostateczny – apokalipsę, która da koniec temu padołowi łez i rozpaczy. Bóg nie popełni po raz kolejny błędu, jakim było stworzenie człowieka.

Słuchałem słów Wergiliego, a w wyobraźni kreśliły mi się obrazy. Spasione rozwiązłością, pychą i chciwością zwierzęta, przebrany Platon, skorumpowany Minos, co sędzią miał być najsprawiedliwszym, i Wergili – ostatni Mochikanin. Zrozumiałem w jednej chwili, iż z dawnych zaświatów pozostała rozpadająca się atrapa, bez treści i ze szczątkami dawnej formy.

Atrapa będąca schronieniem szaleńców, krzujących się wokół drobnych przyjemności, które stały się ich celem życia na ziemi jak i tu, w zaświatach. Dziwni są ludzie. Miast miłować i szanować, co im dane, niszczą w szaleńczym zapędzie. Brakujące ogniwo dialektyki, przeciwwaga dla siły tworzącej.

- Ruszajmy, boski Wergiliuszu. – rzekłem, by przerwać to żalosne roztargnienie.
- Po co ? Gdzie chcesz iść ? Tam ?
- Tam.
- Tam jest tak samo jak wszędzie. Wracaj skąd przyszedłeś. Do ziemskiego raju pełnego wojen, kłamstw, krwi. Nie odbieraj sobie nadziei, wracaj skąd przyszedłeś. Tam w niebie zamiast Boga ujrzysz Hitlera, zamiast aniołów – gestapo. Ocal chociaż nadzieję. Dokończ ziemskiego żywota, tak jak czujesz, że powinienes. Być może da się żyć spokojnie, może da się odnaleźć odrobinę szczęścia, piękna. Czyń raj na ziemi, bo w tej rozpadającej się atrapie raju nie ma. Szukaj tam, tu nic nie znajdziesz. Wracaj skąd przyszedłeś.

I wróciłem.

Do swojego domu, żony, dzieci, telewizora i ciepłych kapci.



BARTON FINK

2000.X.20.

Jaskinia

(1.)

Z niebytu w byt z nicości w coś
w świadomość trzech wkroczyli
tu śmiech tam nic tu płacz tam nic
dlaczego tu przybyli?

Jaskini mrok ogarnął ich
swym ciemnym zaciemnieniem
złowrogi byt trzy dusze w mig
zaskoczył swym istnieniem

Usiedli trzech w jaskini tej
oczyma wodząc wkoło
i ostrzą wzrok by przeszyć mrok
co tańczył tam wesoło

Zielony krzak ach malin krzak
kuszący swą słodyczą
czerwony tak jak polny mak
z śmiertelną tajemnicą

(2.)

Więc pierwszy z nich w zieleni toń
zanurzył się rozpląnął
bo malin krzak jak cały świat
z ofiarą swą odpłynął

I stare drzwi milczące drzwi
pomiędzy krainami
kto wiarę ma nadzieje ma
na lepszy świat za drzwiami

Zaś drugi z trzech przed drzwiami klękł
zacisnął pięść i wierzył
nadzieją na piękniejszy raj
jedyne życie przeżył

I cętkowany tygrys był
co sekret znał wszechświata
kto poznać chciał sekretu czar
z tygrysem walczył świata

Ostatni z nich nie ujrzał drzwi
wypluły słodycz usta
lecz tygrys był ostrzący kły
kły, w których mieszka pustka

tygrysi wzrok straceńca wzrok
na ćwierć krajały dusze
fatalny bój Rolanda bój
poznania to katusze

I nagle brzdęk i kryształ pękł
trzy ciała oddalone
z nicości w coś z niebytu w byt
dlaczego w drugą stronę?

A ja nie jestem jednym z nich
ja jestem nimi trzema
takiż to świat niedobry świat
czemu innego nie ma?

BARTON FINK



Kultura i sztuka.

Chodź! Pokażę ci język.
Chodź! Niewierny psie!
Nie liź kości!
Liźnij trochę kultury,
Chodź, a pokażę ci język!
Chodź, utoń w moich ramionach,
utoń w morzu mych plwocin i rzygowin,
poczuj człowieka, jego wnętrze,
obejrzyj ciepłe bebechy,
włóż palce w palce w płataninę kiszek,
ciągnij, je , skręcaj , zwijaj.
Chodź ! Tu, gdzie toczy się
artystyczne życie.
Wejdz ! Do ogrodu śmierci.
Przyjmij moje gówno
za najintymniejsze wyznanie
Niech zaleje cię pasiajucha,
Ale chodź ! Nie bądź nieczuły!
Nie bądź usztyniony i martwy!
Mówisz nie?
Że to jest obrzydliwe,
że jest ci niedobrze,
że nie możesz na to patrzeć,
że to nie ludzkie ?!
Nie ma w tobie za grosz
wrażliwości. Zawiodłeś mnie!
Rozczarowałeś swą nieczułością
na sztukę, prawdę i piękno!

My

Dziad biją dziada
Dziad bije babę
Baba bije dziada
Baba bije babę
Dzieci biją dzieci
Baby biją dzieci
Dziady biją dzieci

Wszyscy biją zwierzęta
- Niech żyje solidarność!

Chcę być wilkiem

Brzaskąło.
Piękność świata o świcie
stado wyszło
zwyczajowo
Czysta wygodna obora
żuć trawę
Zielona łąka komfortu
- rzuć trawę!
Cudowna dolina
wył wilk
Słonko malowane obłoki
- wilk jest głupi.
o wilku wielkie muczenie
śliczność sielskość siana dość

Same są
krowy szczęśliwe
pełne są
stodoły zbóż
i pasz
- stodoły zburz !
miauczy kot z płota
- kot jest mały i głupi
mlecznie moczy paszcz
miękki kot.
muczenie
zielona łąka komfortu

Łącznie dobrze się żyje
stale stadnie stabilnie
nie puszczajmy się w puszcze
jak głupi wilk.
Krowy się kryją przed kresem
dnie nie ma
wilk wyje do sierpa
stado nie zna sierpa
śpi na rzeź
rano wyszło
zwyczajowo
cudowna dolina
zielona łąka komfortu
to trwało
aż przyszła – choroba szalonych źdźbeł.

Ryby

Pływaliśmy blisko siebie
w morzu
zobaczyłem swoje smukłe ciało
to nie był przypadek
że na siebie wpadliśmy

Leżymy
na dnie – ciszy i spokoju
cali mokrzy
nic nie mówię
nic nie mówisz
skóra ci się łuszczy
łypiesz okiem
wydymasz usta
wydymasz powietrze
„ - którą następną wydymasz?”
a jednak mówisz
to chyba pierwsza wigilia
w środku sierpnia

Wypatroszyłem cię dokładnie.
mdła jesteś w smaku
nie masz ikry

pośród twymi piersiami
leży wisior
tylko jego nie chciałaś zdejmować
czułaś się naga
miętosisz wisior ościstą dłonią
wisior z rybami
bo taki twój znak zodiaku
na mnie mówiłaś strzelec
nie wiesz jak mam na imię
nie wiem jak masz na imię
to był zły dzień na wędkowanie
- spływaj głupia flądro!

MIHOR

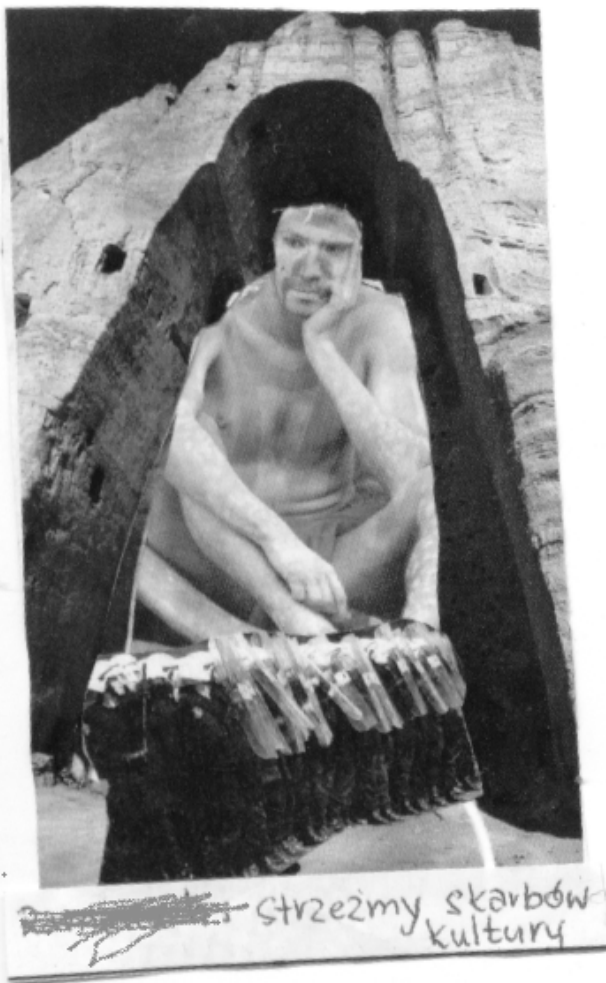


Wołanie o radość

Głos unosi się na falach eteru.
Zwiastun złowrogi
Zabija ciszę,
Uderza o burtę szczęścia
Niszczy spokój

Rozbudza niepewność
Jest wołaniem o lepsze jutro
Jest tupnięciem stopy...

Wyraz rozgoryczenia?
Okrzyk rozpacz?



Dziewczyna z porcelany

ed lustrem stała
miczna dama.
na – zastygła.
yglądała się ludziom podziwiającym
obnażone ciało.

ple oddechy gapiów
warły ją ze skostniałej formy.
gnęła poznać ciepło dłoni
swojej śnieżnobiałej piersi
ważyła się przytulić swą zimną twarz
rozpalonych pleców.

ące ciepło roztopiło jej zlodowaciałe serce

Joanna

Ocalenie

w kostniejącym przemijaniu
poszarzały dnia ciężarem
czekając na rozdanie brzytwy
uwieczniony płucem wiary

poderżnięcie ostateczne

piórem z chleba przepisujesz
stare słowa w białe karty
odkrawając cienkie plastry
w których zmawiasz ocalenie

jakby serce ususzone
umówione na poemat
odgrzewany dla żołądków
świtających na cmentarzu
w gwiazdozbiorach pogrzebowych

(nie do końca)spłyniesz w trumnę
wejdiesz w usta glizd kwitnących
przelkną ziarno pokolenia
w tył rzucane kości ziemi

nic zaprawdę nie umiera
nic zaprawdę nie umiera



Brzuchomówca

brzuchomówca to człowiek
przemawiający głosem
rozpaczy
spytać takiego o godzinę
a on
kwiiiiiiiiikwiiiiiiiiii meeeeeeeeeeeeeeee

*okrucieństwo tego wyznania zdać się
może wręcz perwersyjne jednak
zmuszony doniosłością sytuacji
autor liczy
na wyrozumiałość dotkniętych
proszę nie wychodzić
proszę nie rzucać kamieniami proszę nie
wpadać w panikę*

proszę proszę
któż też dzisiaj uszczęśliwi nas
konwersacją

małeńki cielaczek niestety niemowa
niegdyś szczycił się piękną łatą
niejeden pragnął takiej łaty

ale to nie zazdrość

trzeba wiedzieć o niezmiernie żadkich chwilach
niesamowite zjawisko
niczym
zębata tarcza słońca rozpruwająca
biały brzuch księżyca
chwile owe odkrywają nowe choryzonty w dziedzin
muzykologii

powodowany specyfiką warunków
brzuchomówca
przygnieciony ostateczną koniecznością
przemawia czasem
ludzkim głosem

tymczasem posłuchajmy nasila się
hałas
wewnątrz



widać poniosło pana brzuchomówcę
khm

czy to aby nie zbiera się na burzę
oklasków
na burzę oburzenia
o boże
proszę nie tracić oczu
czyżby
oto na oczach wszystkich na uszach
stało się

Melchior P. Fest

*****!!!Dodatek Specjalny!!!*****

GRATIS

Dodatkowa strona na TWÓJ !! wiersz

Wraz z pierwszym numerem naszego pisma
rozpoczynamy akcję pod nazwą:

„i ty możesz zostać poetą”

(tu wpisz tytuł wiersza)

.....

.....
.....
.....
.....
.....
.....

..... Miejsce na tekst wiersza

.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....

.....(pseudonim\nazwisko)*.....

* niepotrzebne skreślić

*****!!!Dodatek Specjalny!!!*****

*******!!!Dodatek Specjalny!!!*******